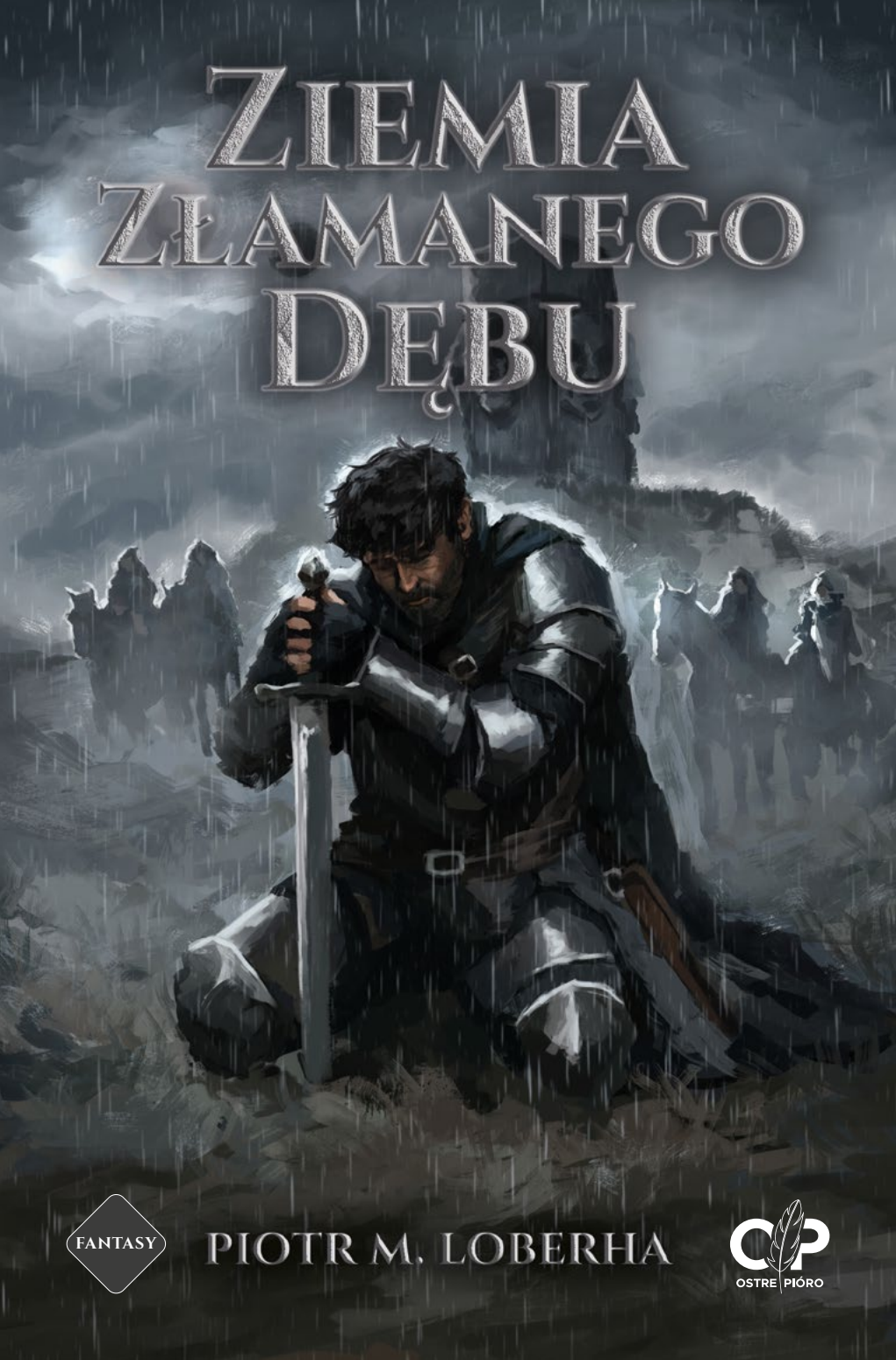
Ziemia Złamanego Dębu



FANTASY

PIOTR M. LOBERHA

OSTRE PIÓRO

Ziemia Złamanego Dębu


Kilatys
DWURZECZE
Voria
Czarne Wierzby
Stoktoszyn
Leśnica
Kadan
Sydaria
Potamoi
Merglana
Wysoki Most
NowyTamów
StaryTamów
Perasime
Biały Bór
Jadwigowo
Methoris
Tavlana
Stare Dębno
Kolonowo
EREALLE
Oklatava
Ningalar
Val Taven
Sierp
Nowe Dębno
Jezioro Kradańskie
Zachodnia Przystań
Kradana
A
DROGRAD



Ziemia Złamanego Dębu

PIOTR M. LOBERHA

Copyright © Piotr M. Loberha
Copyright © Ostre Pióro

Wydanie I
Szczecin 2026

ISBN (druk): 978-83-68498-73-8
ISBN (e-book): 978-83-68498-74-5

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Wydawca zezwala na udostępnianie okładki książki w internecie.

Ilustracja na okładce
Małgorzata Łabuzek

Projekt okładki
Katarzyna Seredin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl

Redaktor prowadząca / redakcja
Monika Całka | kropkaispolka.pl

Korekta
Magdalena Dziekan | www.magdadziekan.com
Dagmara Jaszczak-Bartosik

Projekt typograficzny, skład i łamanie
Katarzyna Seredin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl



Wydawnictwo
Ostre Pióro
www.ostre-pioro.pl



Rzeka graniczna wezbrała już podczas pierwszych roztopów tej wiosny. Kapitan Arenil Kettram stał na brzegu i śledził wzrokiem pień niesiony spienionym nurtem. Obok niego wyrósł nagle jasnowłosy porucznik Geamin. Lata służby w połączeniu z naturalnymi zdolnościami nauczyły go poruszać się bezszelestnie.

– Zapewne pójdę się już wspinać na to drzewo – powiedział porucznik. – Nie każ na siebie zbyt długo czekać, kapitanie.

– Zaraz do ciebie dołączę, bez obaw.

– Nie przyszedłbym tutaj, gdybym się nie obawiał – stwierdził Geamin i zniknął równie nagle, jak się pojawił.

Arenil nie zamierzał się spieszyć. W młodości robił to nazbyt często. Znów zaczął wypatrywać ruchu po arrackiej stronie. Za każdym razem uderzał go ogrom równin ciągnących się od Morza Lodowego aż po brzegi Morza Jasnego. Niepokój budził już sam bezkres pól, lasów i łąk.

Zagrożenie ze strony księstw Arratu od wieków wisiało nad Ziemią Złamanego Dębu – stałe i nieuchronne, jak topór, mający pewnego dnia trafić w ręce kata. Po jego stronie rzeki leżał kraj, który uznał go za swego. Był jego domem, a domu nie oddaje się bez walki.

Wyczuwał nuty niepokoju w relacjach kupców, flisaków i posłańców przybywających z Arratu. Od niedawna nawet zbiegowie

przynosili drobne, z pozoru błahe wieści, układające się w coraz wyraźniejszy obraz. Budziło to w nim dreszcz, jakby ktoś przyłożył mu do gardła zimną stal.

Nie chodziło o sam fakt wybuchu wojny, ale o jej skalę. Tym razem nadciągała wielka czarna chmura, pchana w ich stronę przez niezrozumiałą siłę. Zwykłe konflikty graniczne kończyły się zaraz po przypomnieniu książętom Arratu, że wioski po obu stronach granicy płoną tak samo łatwo.

Podmuch wiatru wtłoczył w płuca Arenila ostre powietrze z północy. Wiosna dopiero się rozpoczynała, a zima nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

Żywił przekonanie, że w tym miejscu warto się rozejrzeć: z dala od posterunków granicznych, przy zapadłym grodzie po arrackiej stronie. Stały tam wielkie stodoły – idealne miejsce do gromadzenia zapasów. Jeśli wróg przekroczyłby tu rzekę, dalej teren mu sprzyjał. Poprowadziłby uderzenie przez te okolice, gdyby to on dowodził armią Arratu. Z dowództwa dostał tylko ogólne wskazówki, musiał więc polegać na własnej intuicji, a ona podpowiadała, że właśnie tutaj coś się szykuje.

Arenil spojrzał w górę i pokręcił głową. Konary kołysały się pod naporem wiatru, a cały pomysł obserwacji z góry nagle wydał się szalony. Ledwo mógł uwierzyć, że przyszłość pogranicza może zależeć od wspinaczki na to przeklęte drzewo.

Najgorsze było to, że jego podkomendni znali już plan. Nie przychodziła mu do głowy żadna wiarygodna wymówka pozwalająca uniknąć wspinaczki, a jednocześnie zachować twarz. Skoro żądał od nich odwagi, teraz sam musiał ją okazać.

Ta przerośnięta roślina powinna być opiewana przez natchnionego poetę, doszukującego się wszędzie symboli fallicznych. Jednak nikt rozsądny nie powinien się na nią wspinać – pomyślał, odwlekając początek drogi w górę.

– Pośpiesz się, kapitanie. Wchodź, póki Jasna Siostra świeci. Później będzie trudniej – wyszeptał Geamin teatralnie.

Łatwo mu mówić – dotarł już niemal na sam czubek. Siedział na jednym z najwyższych konarów i tylko nienazwanej elfickiej magii zawdzięczał, że wciąż się tam utrzymywał. Ale elf się nie mylił, srebrna tarcza większego z księżyców niedługo miała skryć się za horyzontem.

Kapitanowi towarzyszyły dwie drużyny z jego kompanii. Niby każdy z żołnierzy czymś się zajmował, ale kątem oka śledzili ruchy dowódcy. Odwrócił się i spokojnym krokiem podszedł do drużyny Lothara. Sierżant powitał go bladym uśmiechem i spojrzeniem podszytym podejrzliwością.

– Jakie są stawki, sierżancie? Tylko nie próbuj mi wmówić, że nie obstawialiście mojej wspinaczki.

– Przykro mi, kapitanie. Trzy do jednego, że pan nie dotrze tam, gdzie elf. – Brodatą twarz Lothara ozdobił uśmiech, pasujący raczej do gracza w trzy kubki na miejskim targu niż do sierżanta jazdy z pogranicza. Mogło się zresztą zdarzyć, że na którymś etapie barwnego życia uprawiał podobny proceder.

– Stawiam dwa złote dęby, że wejdę. I wrócę do was z dobrą wiadomością – oznajmił kapitan, a sierżant pochwycił rzucone monety.

Arenil odwrócił się i ruszył w stronę drzewa. Zignorował protesty wygłaszane do jego pleców, że przedmiot zakładu nie powinien obstawiać, bo to przecież nieetyczne. Dodatkowe monety przydadzą się kompanii, a Lothar nie zbiednieje.

Położył dłoń na wilgotnej korze, od razu przestał słyszeć rozmowy w tle. Miał misję, więc jego umysł wypełnił spokój. Wykonał gest Czterech Twarzy, jak zawsze przed walką.

Zdjął kolczugę i pas z mieczem. Ciężkie wojskowe buty zastąpił mokasynami z miękkiej skóry, a hełm czapką z baraniego futra. Nie zamierzał lekceważyć żadnego przeciwnika, nawet jeśli była to cholerna sosna.

Dotknął postrzępionego, wilgotnego sznura. Nie wzbudził w nim ani odrobiny zaufania.

Jak to możliwe, że elf wszedł tutaj bez liny? – pomyślał, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Potem chwycił ją i ruszył w górę. Już po chwili spocone dłonie ślizgały się po mokrej korze, mięśnie ramion paliły, a serce waliło jak młot. Tylko raz spojrzał w dół i natychmiast tego pożałował, bo poczuł ukłucie w żołądku, jak po połknięciu łodygi smoczego ziela.

Gdy dotarł na wierzchołek, dyszał ciężko, a pot spływał mu po plecach, jakby właśnie opuścił rozgrzaną łaźnię. Z mieszaniną fascynacji i zazdrości przyglądał się elfowi, który zdawał się stanowić z drzewem jedną całość. Arenil usadowił się na solidnym konarze.

– Jak obstawiłeś? Że wejdę?

– Jesteś uparty jak bawół. To nie było specjalnie trudne.

– Komplement zawsze miło usłyszeć, poruczniku. Widziałeś kogoś na moście?

Elf przecząco pokręcił głową.

– Nie. Może za bardzo się tym przejmujemy? Tylko siedzimy tu i marzniemy na darmo.

– Czuję, że coś tu zwęszymy. Zresztą wczoraj przyjechał posłaniec, myślę, że to nie przypadek.

Bo jeśli nic tutaj nie będzie, zetnę to cholerne drzewo – dodał w myślach.

– Cały problem w tym arrackim „może" – uciął elf.

Pozostawało im tylko czekać, aż Jasna Siostra zniknie za postrzępionymi krawędziami wzgórz. Służba na pograniczu często sprowadzała się do takich chwil oczekiwania. Uśmiechnął się, słysząc chrapliwy głos derkacza, powtarzany tak regularnie, jakby najmniejsze odstępstwo groziło zagładą świata. Na sąsiednim drzewie przysiadła sowa. Obróciła głowę, spoglądając z ciekawością. Pogrążony we śnie świat wydawał się spokojny, a zagrożenie wojną – odległe jak północny horyzont.

Arenil sięgnął do kieszeni po długi walec z miedzianej blachy. Rozciągnął go na pełną długość, krytycznie lustrując soczewki na obu końcach przyrządu. Metal był gładki i chłodny w dotyku, połyskiwał słabo w świetle Jasnej Siostry.

– Teraz przekonamy się, czy ten wynalazek jest coś wart.

Już po kilkunastu minutach się ściemniło. Na niebie pozostała tylko Ciemna Siostra, mniejszy z księżyców, do tego chmury czasem przesłaniały nawet to słabe światło.

Z wierzchołka sosny mogli obserwować most z dębowych bali, a dalej ciemne zarysy grodu, wciśniętego między dwie rzeki.

Mimo ciemności nadal widzieli wyraźnie ruch po drugiej stronie rzeki. Ten niezwykły dar zawdzięczali czarodziejce spotkanej dawno temu na dalekim, południowym lądzie. Dla nich to wspomnienie należało do innego życia. Zostawili je za sobą, gdy wkroczyli na pokład okrętu Szarych Mieczy i pozwolili, by morze poniosło ich na północ.

Talizman zostawił na ich skórze blade znaki, bezkształtne poparzenia – jedyne przypomnienie o kimś, kto kiedyś ocalił im życie. Umiejętność władania mieczem potrafiła zjednywać przyjaciół, ale dziwna blizna i zdolność przenikania wzrokiem ciemności wzbudziłyby nieufność. Dlatego strzegli tego sekretu z żelazną dyscypliną.

– Są. Jednak miałeś nosa – rzucił elf. – Biegają jak w ukropie. Pewnie mają dużo wozów do przetoczenia.

Miedziany wynalazek pozwolił Arenilowi dostrzec, jak z czerni lasu wyłoniły się postacie i zaczęły układać coś na moście.

– Chyba rozkładają słomę, żeby nie było słychać turkotu kół. Cholernie starają się coś ukryć. Bez daru Białej Sowy niewiele byśmy zobaczyli.

Przekazał elfowi miedzianą tubę. Ten pokiwał głową z uznaniem.

– A bez tego krasnoludzkiego cudu moglibyśmy tylko zgadywać, kapitanie. Miałem kiedyś w ręku lupę z górskiego kryształu, ale to tutaj działa bez porównania lepiej.

Trwali w milczeniu, na zmianę obserwując ruch wozów. Ciszę przerwał w końcu Geamin:

– Ech, gdybyśmy uderzyli pierwsi… Spalilibyśmy zapasy, a przy okazji te cholerne mosty. Nad rzeką nic nie wzmocnili, palisada ledwo się trzyma.

– Marszałek nie ruszy pierwszy. Walka z Arratem nie jest taka łatwa. Pomyśl. Pójdziemy na księstwa graniczne i co dalej?

– Niby racja. Mnie martwi, że znów, jak we wszystkich wojnach, trafił mi się liczniejszy wróg. Dlaczego? Czy to jakieś przekleństwo?

– Masz zwyczajnie smykałkę do tej roboty. Gdyby nie to, już byś nie żył – odparł Arenil.

Zaniepokoił się, słysząc coraz cięższe tony w słowach elfa. Ten uśmiechnął się blado, a po chwili odrzekł:

– Bardziej dlatego, że to jedyne, co umiem. Musisz jednak przyznać, że tym razem bagno wydaje się głębsze niż zwykle.

Na moment Arenil odwrócił głowę.

– Dziwne, że dziś to ty odgrywasz rolę pesymisty. Zbierze się rycerstwo, dojdzie wsparcie z innych prowincji. Damy radę. Sami nieraz bywaliśmy w opałach i wychodziliśmy z nich cało.

– Liczenie na pomoc nie jest drogą do zwycięstwa. Mam w tym względzie spore doświadczenie – upierał się elf.

– Na ile się orientuję, Marszałek wie, co robi. Jeśli my uderzymy, sojusznicy palcem nie kiwną. Dyplomacja Arratu zrobi z nas awanturników, a to stworzy zagrożenie dla zagranicznych komandorii.

– I tak nas oczernią. Liczy się skuteczność.

Arenil nie odpowiedział, bo jego zdaniem Geamin miał rację i zarazem jej nie miał.

Nagle dostrzegł na drugim brzegu ludzką postać. Na tle szarości wyraźnie odcinał się wysoki mężczyzna w pelerynie. Arenil był niemal pewien, że przybysz wyróżniał się ciemną skórą. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dziwny mężczyzna patrzy wprost na niego, jakby sięgał ku niemu niewidzialną nicią. W stolicy widywał wielu czarnoskórych marynarzy, lecz tu, na północy, spotykało się ich bardzo rzadko.

Czy ten człowiek mógł zdawać sobie sprawę z ich obecności? Przecież tylko on i Geamin znali cel misji, a elfowi ufał

bezgranicznie. Instynktownie odchylił ciało do tyłu, przez co czubek drzewa lekko się zakołysał. Musiał wzmocnić uchwyt.

– Wszystko w porządku? Coś zobaczyłeś? – zaniepokoił się Geamin.

Arenil spojrzał w tamto miejsce jeszcze raz, a potem przeszukał wzrokiem cały brzeg. Nikogo nie dostrzegł.

– Coś musiało mi się przywidzieć.

Co miał powiedzieć? Że przez chwilę widział mężczyznę o ciemnej skórze, ubranego w pelerynę, który potem zniknął? Już kiedyś w Rivan wielokrotnie wydawało mu się, że ktoś obserwuje jego oddział i wtedy nic z tego nie wyniknęło. Zanim cokolwiek powie, zamierzał tym razem dowiedzieć się więcej.

Siedzieli na czubku sosny przeszło dwie godziny. Obserwowali wozy przetaczane po moście, zbrojnych wchodzących do grodu oraz prowadzone zwierzęta. Z tej wysokości ruchy arrackich żołnierzy przypominały figury na planszy, przesuwane ręką niewidzialnego stratega.

Gdy silniejszy podmuch wiatru poruszył drzewem, Arenil odruchowo spojrzał w dół. Zdawał sobie sprawę, że schodzenie będzie trudniejsze, ale wiedzieć, a zobaczyć, to dwie różne sprawy.

– Nie ma sensu dłużej tu siedzieć. Przez ten wiatr przemarzłem do szpiku kości. Wiem wszystko, czego potrzebowałem. Wracamy.

– I co o tym wszystkim myślisz? – zapytał elf.

– Wojny przychodzą i odchodzą. Z tą też sobie poradzimy. Na razie gromadzą zapasy, minie jeszcze kilka miesięcy, zanim ruszą.

– Nie zbywaj mnie. Chcę usłyszeć opinię dla przyjaciela, a nie podwładnego.

Dopiero teraz Arenil zorientował się, że rozmowa nabrała niebezpiecznego ciężaru. Obraz ciemnoskórego mężczyzny wciąż nie chciał zniknąć z jego myśli, przez to wcześniej słuchał Geamina tylko częściowo. Przez chwilę układał słowa w głowie.

– Myślę, że wojna jest blisko. Zwożą mnóstwo zapasów. W tych dwóch sprawdzonych przez nas miejscach sytuacja jest podobna. Źle to wszystko wygląda.

– Mów wprost. Jak bardzo źle?

Przez chwilę milczał. Nie chciał przywoływać demonów z przeszłości Geamina, ale kłamstwo nic by nie zmieniło.

– Tu nie zapowiada się wojna graniczna. Obawiam się, że nadchodzi coś gorszego, znacznie gorszego – zawiesił głos. – Ale niezależnie od tego, jaka armia opuści granice Arratu, my musimy ją zatrzymać. I zrobimy to.

Elf już go nie słuchał, ponieważ zacisnął właśnie dłoń na szorstkiej korze, szukając oparcia. Jego spojrzenie przygasło. Skurczył się w sobie, jakby znów powróciły złe wspomnienia. Słowa wypowiadał cicho:

– Jeśli masz rację, czeka nas ciężka przeprawa. Już raz taką wojnę widziałem i ledwo uszedłem z życiem. Nie wiem, czy starczy mi sił, by przejść przez to ponownie.

– Zostanę z tobą. Nie wyjadę po raz drugi. Intuicja podpowiada mi, że mimo wszystko mamy szansę. Każdy powinien robić swoje.

Elf odwrócił ku niemu twarz. Patrzył z rezerwą i wyrzutem, bez tego głębokiego zaufania, jakie łączyło ich kiedyś.

Arenil odwrócił wzrok i milczał. Słowa czasem bolały bardziej niż groty strzał. Nie miał zamiaru się tłumaczyć po raz kolejny z decyzji o wyjeździe. Wrócił z powodu dwóch osób, a elf był jedną z nich.

Dobrze, że nie znasz powodu, dla którego wyjechałem. Co muszę jeszcze zrobić, żebyś znów mi zaufał? – rozważał.

Arenil chciał dać sobie i przyjacielowi czas na uporządkowanie myśli, więc pozwolił, by cisza trwała. W końcu stwierdził, że powinni wracać.

– Trzeba przekazać informacje o gromadzonych zapasach do sztabu. Niestety, żeby to zrobić, musimy najpierw zejść.

Ponownie skierował wzrok ku ziemi i jego twarz pobladła jak kreda. W tej chwili oddałby nawet pięć złotych dębów, byle znaleźć się już na ziemi.

– Ruszaj spokojnie, będę cię asekurował.

Geamin odzyskał zwykły spokój i jego twarz ozdobił lekki uśmiech. Ujął linę w obie dłonie, a kapitan przewiązał się w pasie.

Zejście przebiegło nadspodziewanie gładko. Skończyło się tylko na dwóch otarciach i siniaku na łydce. Miał ochotę ucałować ziemię zaraz po tym, jak jego stopy dotknęły miękkiego igliwia.

Po chwili dołączył do niego elf, zeskakując lekko z ostatniej gałęzi. Udali się razem w kierunku polany, gdzie zostawili konie i rozbili prowizoryczny obóz.

Żołnierze zaczęli się podnosić na widok idącego ku nim dowódcy. Początkowo zamierzał zarządzić natychmiastowy wymarsz, lecz zmienił zdanie. Nagły powrót i pilna wiadomość mogłyby ściągnąć na ich kompanię niepotrzebną uwagę, a on wolał, by wieści dotarły do sztabu po cichu.

Powrót między swoich ludzi pozwolił mu na chwilę odsunąć od siebie ciężar dzisiejszego odkrycia oraz wspomnienie niepokojącego mężczyzny w kapturze. Stanął przed żołnierzami i krótko oznajmił:

– Zanocujemy tutaj. Wyruszymy dopiero jutro.

Kiedy oddalili się od innych, kapitan zwrócił się do Geamina:

– Znajdź Lothara, niech przyniesie tę swoją lampę. Powiedz też Mavrosowi i Tancerzowi, żeby się do mnie zgłosili.

Podszedł do jucznych koni, odnalazł wałacha o nietypowym cętkowanym umaszczeniu i odpiął klamrę juków. Za jego plecami coś poruszyło się w zaroślach. Odwrócił się błyskawicznie.

Wzdłuż granicy drzew przelatywało kilka bażantów, równocześnie spomiędzy liści wyłoniła się ogromna paszcza białej bestii. Gdyby nie rozpoznał Cabil, teraz ogarnąłby go prawdziwy strach.

Szczęki zamknęły się na szyi jednego ptaka z szybkością, o jaką nikt nie podejrzewałby spokojnego ogara. Głowa stwora ze zdobyczą w pysku zniknęła w zieleni tak samo nagle, jak się pojawiła. W tej samej chwili drugi bażant runął na ziemię, przeszyty strzałą.

Zaraz potem z listowia wyłonił się Kiaran, niosąc w ręku masywny łuk z czerwonokrzewu. Potrafił trafić zwierzynę w oko

z dwudziestu kroków. Obok niego kroczyła Cabil z bażantem w zębach, dumnie unosząc głowę.

Kiaran ukląkł, by wyciągnąć strzałę z upolowanego ptaka, a wstając, pogładził Cabil po głowie. Arenil był pod wrażeniem szacunku, jaki Kiaran okazywał każdemu stworzeniu, nawet właśnie upolowanemu.

– Niezła akcja. Chodź, opalę ci go nad ogniskiem. Nie będziesz przecież z piórami jeść jak jakiś dzikus…

Urwał w pół słowa, gdy dostrzegł kapitana pośród jucznych koni. Zwierzęta dreptały nerwowo w miejscu i strzygły uszami. Musiały wyczuć zapach ogara. Choć były przyzwyczajone do jej obecności, wrodzona obawa czasem brała górę. Inaczej sprawa wyglądała nocą. Wtedy chętnie podchodziły, a potem kładły się obok niej, spokojne i ufne. Sama obecność Cabil gwarantowała, że żaden drapieżnik nie podejdzie.

Wilki trzymały się z dala od ważącej ponad tysiąc funtów bestii, przypominającej krzyżówkę lwa jaskiniowego z jednorożcem, a właściwie z dwurożcem, bo z ich czaszek wyrastały dwa wydłużone rogi. W wielu kulturach nazywano je białorożcami i uważano za święte zwierzęta. Arenil pamiętał, że elfy z wielkich równin Merkelinu za zabicie ogara karały śmiercią.

– Przyłączyła się do polowania. Czasem tak robi – wyjaśnił Kiaran.

– W porządku. Zostajemy tu na noc, więc możesz jej upiec to mięso.

– Ustrzeliłem jeszcze cztery, zostawimy porcję dla ciebie.

– Będę zobowiązany. Dzięki.

Westchnął, obserwując, jak Kiaran oddala się w towarzystwie białej bestii. Ona była przyzwyczajona do obecności żołnierzy, zawsze trzymających w zanadrzu jakiś smaczny kąsek dla niej. Problemy zaczynały się, kiedy trzeba było wrócić do przydziałowych porcji, a te dostawała tak samo jak wszyscy pozostający na żołdzie Pancernej Pięści.

Na szczęście w trakcie ich służby pojawiało się mnóstwo okazji do wzbogacania jadłospisu Cabil, podobnie jak pozostałych żołnierzy. Wreszcie wydobył z juków podróżny listownik i wrócił do podwładnych.

Na obrzeżach polany widać było kilka szerokich pni. Ślady siekiery wciąż znaczyły ich powierzchnię, świadcząc o pracy drwali podczas zimowego wyrębu. Jeden miał tak nacięty klin, że powinno dać się na nim ułożyć podstawę do pisania. Nie chciał wysyłać do stolicy listu zapisanego nierównymi literami.

Po kilku minutach pojawił się sierżant Lothar. Właśnie kończył coś przełykać, a w jego brodzie tkwiły jeszcze okruchy jedzenia. Miał zadowoloną minę, jakby wracał z porządnej gospody, a nie spożył prosty, żołnierski posiłek.

– Panie kapitanie, melduję się. Przy okazji chciałbym zapytać o tę dobrą wiadomość, o której pan wspominał przed jakże kosztowną dla niektórych z nas wspinaczką.

– Dobra wiadomość jest taka, sierżancie, że jesteś mi winien sześć złotych monet.

Lothar skrzywił się.

– No, jestem… Zbyt wysokie te zakłady, kapitanie – zaczął z nadzieją w oczach, lecz Arenil mu przerwał.

– Nawet nie próbuj, Lothar. Ciesz się, że przymykam oko na przyjmowanie zakładów i inne twoje przedsięwzięcia. Tylko dlatego, że cię lubię.

Kryła się za tym tylko część prawdy. Równie istotne było, że „księcia wśród żołnierzy" lubili i poważali wszyscy w kompanii Pancernej Pięści. W interesach Lothar cieszył się wręcz nieskazitelną reputacją. Arenil nie potrafił racjonalnie wyjaśnić, jak ten urodzony kombinator zdołał wzbudzić tyle zaufania. Nawet wyjątkowo długie przepustki nie budziły wśród żołnierzy zawiści, bo sierżant zawsze wracał z beczką piwa dla swoich towarzyszy broni.

Lothar ze zbolałą miną oddał złoto. Brew Arenila uniosła się, bo liczba monet się nie zgadzała.

– Możesz mi wyjaśnić, dlaczego dałeś mi jedną monetę więcej?

– No bo chłopaki… To znaczy, żeby pan kapitan nie dociekał, kto postawił, że pan nie wejdzie – wyjaśnił sierżant.

– Nie przejmuj się, Lothar. Ja też postawiłbym przeciwko sobie, gdybym nie wiedział, że muszę wspiąć się na to przeklęte drzewo.

– To zmienia postać rzeczy, kapitanie – rozpromienił się Lothar. – W takim razie uprzejmie proszę o zwrot dodatkowej monety.

Arenil zmarszczył brwi. Jeśli Lothar wręczył mu złoto, to znaczyło, że zostało już zaksięgowane w kosztach jego działalności.

– Jak sądzisz, sierżancie, czy wydam to złoto na dziwki, czy wykorzystam je z pożytkiem dla nas wszystkich?

– No, na dziwki to nie… Bo żona by pana kapitana ze skóry obdarła. Więc na dziwki na pewno nie – zaprzeczył sierżant.

– Trafne rozumowanie. Mam też świadomość, że w razie chwili żołnierskiej słabości zaraz znalazłaby się jakaś zdradziecka żmija i doniosła mojej żonie.

– Nie może nas pan kapitan winić, że dbamy o własną skórę. Pani Orla tak ładnie to opisała, że „mielibyście tak przesrane, że pływanie w szambie wydawałoby się przy tym wywczasem". A ona przecież jest w dobrej komitywie z tą wiedźmą ze sztabu. Gdyby chciała, mogłaby nas wysłać z misją do Prowincji Śmierci. Zawsze powtarzam, że z kobietami…

Arenil przerwał tyradę sierżanta. Żeby określić kogoś z kapituły mianem wiedźmy, trzeba było mieć albo bardzo dużo odwagi, albo mało rozumu.

– Skończymy tę jałową dyskusję. Złoto wydam na cele kompanii. Tyle ci musi wystarczyć, a teraz siedź cicho i świeć. Tylko pamiętaj, że to ja piszę list i potrzebuję światła, a nie ty, żeby móc przeczytać, co napiszę. Czy to jasne, sierżancie?

– Jak słońce, kapitanie!

Lothar zamilkł i uniósł swoją lampę. Emanowała ciepłym żółtym blaskiem. Arenil nie potrzebował światła, żeby widzieć, ale

przyjemnie koiło po wielu godzinach spędzonych w ciemności i chłodzie. Umieszczone w latarni żółte kryształy lumidarytu słono kosztowały, do tego oprawa z miedzianej blachy i małe zwierciadło sprawiały, że czasem prosił sierżanta o użyczenie lampy. W ich kompanii obowiązywało prawo natury – jeśli coś dajesz, otrzymujesz coś w zamian.

To stanowiło przyjemną rekompensatę za chwile, kiedy jako dowódca jednostki musiał świecić oczami za wybryki podwładnego.

Arenil odsunął błądzące myśli i ostatecznie usiadł na pieńku. Następnie ułożył na kolanach wydobyty wcześniej z juków listownik. Przez chwilę zastanawiał się, po czym zaczął pisać. Wiadomość powinna trafić do dowódcy Korpusu Wewnętrznego odpowiedzialnego za wywiad, a ten zawsze interesował się doniesieniami z pogranicza. Gdy skończył pisać, zauważył, że Mavros i Tancerz już czekali.

– Meldujemy się, kapitanie. Porucznik mówił, że pojedziemy z listem – zaczął Mavros.

– Udacie się do stolicy. Ale nie na zamek, zamiast tego znajdźcie Ksaviera. Dajcie mu pismo, on odda je komu trzeba. Nikomu nie mówcie, że jedziecie znad granicy. Wszystko jasne, sierżancie?

W oku Mavrosa pojawił się błysk nadziei.

– Zrozumiałem. A moglibyśmy złapać oddech i zatrzymać się na nocleg? – zapytał nieśmiało żołnierz.

– Nie. Jesteście potrzebni tutaj. Złapcie oddech, a gdyby Ksavier nalegał, możecie wypić kufel lub dwa. Żadnego szwendania się z nim po gospodach. Potem biegiem do portu i wsiądźcie na pierwszą barkę płynącą na północ. A jeśli nie będzie żadnej, dam wam pismo i wtedy jakaś łódź was zabierze.

– Oczywiście, kapitanie – potwierdził Mavros.

– No i nie zapomnijcie porządnie uściskać ode mnie Ksaviera!

– Zrobi się. Zaraz będziemy się zbierać.

Gdy Arenil odłożył pióro, rozprostował plecy. Miał nadzieję, że Ksavier, jego oczy i uszy w stolicy, szybko i dyskretnie dostarczy

pismo we właściwe ręce. Nie martwił się też, że jego ludzie pójdą zwiedzać zamtuzy w stolicy. W sprawach ciała Mavros był ascetą, a żona Tancerza skutecznie wybijała mu z głowy pokusy.



Znaleźli miejsce osłonięte przed północnym wiatrem i rozpalili ognisko. Przeważnie milczeli, jakby siedziała z nimi zjawa, żądająca monety za każde wypowiedziane słowo. Geamin zapadł się w sobie i wpatrywał w ogień, oplatając rękami kolana. Być może wracały do niego wspomnienia innego ognia, który najpierw pochłonął jego ojczyznę, a potem uczynił go wygnańcem. Nawet Lothar nie był tak rozmowny jak zwykle. Kilku starszych wiarusów tradycyjnie nuciło pod nosem smętne melodie. Arenil w milczeniu delektował się bażantem upolowanym przez Kiarana.

Czy wojna nadejdzie, czy nie, chciał po prostu wykonać swoją pracę i przekuć rekrutów w żołnierzy. Powietrze pachniało już wiosną. Ona miała zrobić swoje, więc on także musiał, mimo burzowych chmur nadciągających od Arratu. Uznał, że powinien przyspieszyć szkolenie swoich ludzi, w głowie już układał plan na następny dzień. Tak, każdy powinien robić to, co do niego należało.

Jeżeli za każdym razem, gdy wisiało nad nim wielkie niebezpieczeństwo, dostawałby kawałek ziemi, już dawno stałby się najbogatszym możnowładcą Ziemi Złamanego Dębu.

Jeden z rekrutów nie wytrzymał niepewności i w końcu wypalił:

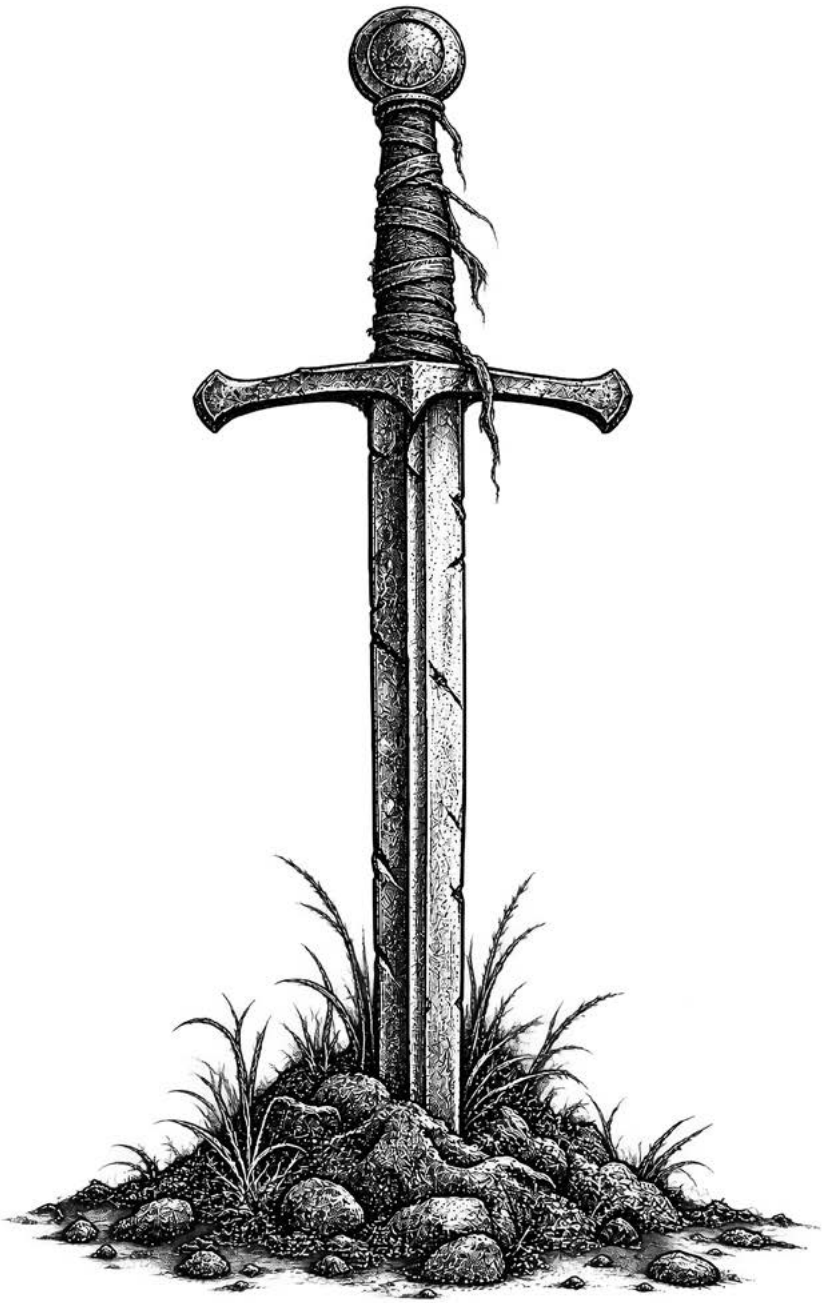
– Czy idzie wojna, panie kapitanie? Widzieliście ze szczytu drzewa ogniska armii arrackiej?

– Czy czeka nas walka? – dopytywał inny rekrut.

Arenil spojrzał na młode twarze po drugiej stronie ogniska. Nim odpowiedział, wolno pociągnął łyk wody z bukłaka. Na jego twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień. Spokoju też musiał ich nauczyć.

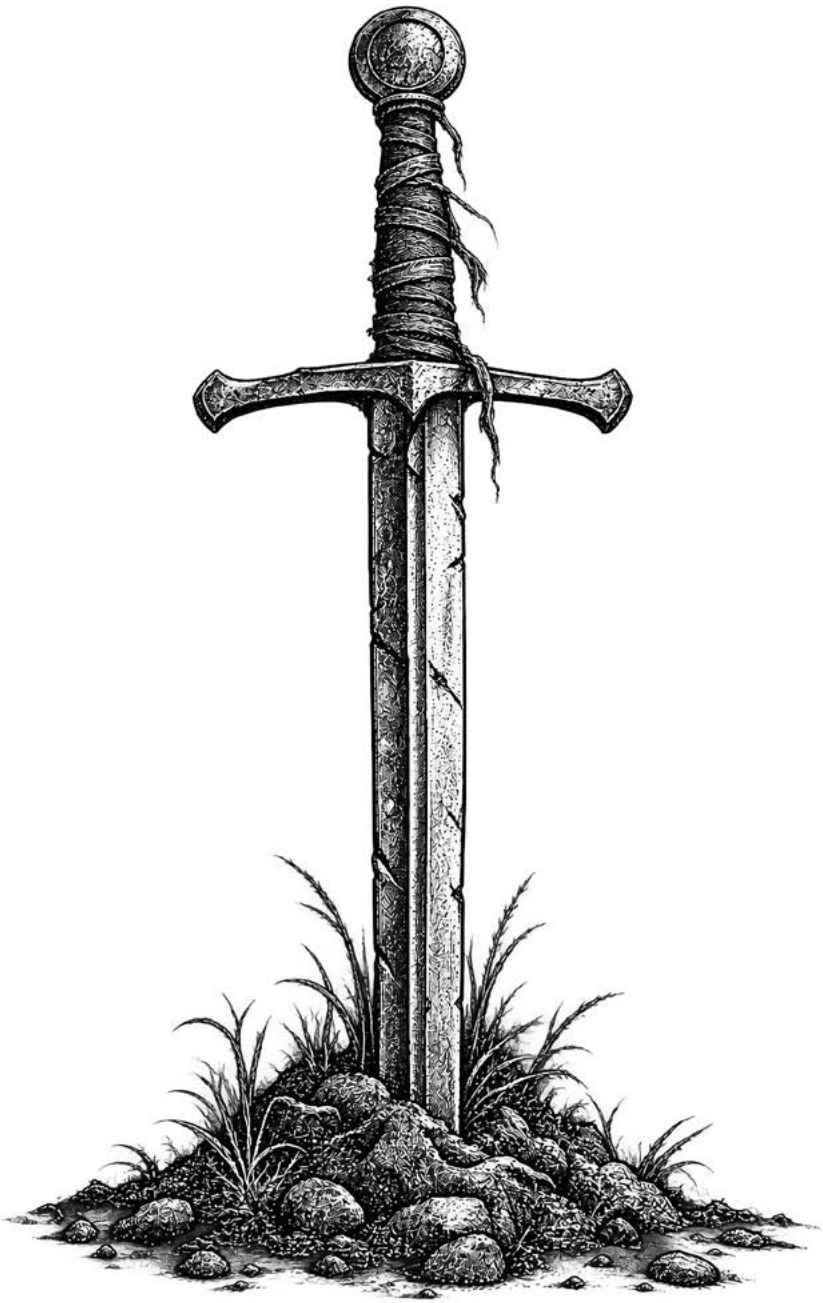
– Żadnych ognisk w zasięgu wzroku, ale to nic nie znaczy. Jesteście żołnierzami pogranicza, zawsze musicie być gotowi na wojnę. Tutaj zresztą często coś się dzieje.







Część 1
Pogranicze





Rozdział 1

Stokłoszyn

Stokłoszyn nie imponował wielkością – nie licząc żołnierzy, mieszkało tu mniej niż tysiąc dusz. Ożywał tylko raz w tygodniu, w dzień targowy, po czym znów pogrążał się w sennym rytmie codzienności. Wokół rynku stały domy kupców i rzemieślników – proste, ceglane budynki z gankami wspartymi na drewnianych słupach. Do przepychu stołecznych rezydencji było im bardzo daleko.

Niewielka świątynia Czterech Twarzy tętniła życiem w dni świąteczne. Po zmroku ludzie zbierali się w trzech gospodach – prym wiódł „Barani Łeb", położony strategicznie tuż obok koszar Pancernej Pięści. Nad wejściem bielała czaszka z porożem nieznanego zwierzęcia. Należało wlać w siebie sporo tutejszego piwa, by uwierzyć zapewnieniom właściciela, że to rzeczywiście baran.

Z każdym kolejnym tygodniem lata atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Nieustannie przybywali i odjeżdżali posłańcy, a pogłoski o wojnie powtarzano już otwarcie. Część mieszkańców pospiesznie opuściła gród, kierując się na południe kraju, by znaleźć się jak najdalej od arrackiego pogranicza.

W szeregu ciemnych bali palisady wyróżniały się teraz jaśniejsze, świeżo osadzone dębowe okrąglaki, a fosę oczyszczono i poszerzono. Fortyfikacje nie należały do szczególnie mocnych.

Zostały jednak przygotowane na oblężenie najlepiej, jak pozwalały skromne środki.

Po porannych ćwiczeniach z żołnierzami Arenil udał się do miejsca szumnie nazwanego sztabem Pancernej Pięści. Pomieszczenie służyło okazjonalnie do podejmowania gości, a niekiedy również jako jadalnia dla oficerów i sierżantów kompanii. Przechowywano tu również dokumenty, raporty i korespondencję kompanii. Od wyjazdu żony spędzał w sztabie większość czasu.

Zdjął z haka żeliwny kociołek i nalał do glinianego kubka parującego napoju. Usiadł, opierając nogi o ławę. Bezskutecznie usiłował ułożyć w głowie przemówienie dla podkomendnych. Mieli zebrać się o zachodzie słońca, a on powinien im przekazać, że kompania otrzymała rozkaz wymarszu za siedem dni. Co miał powiedzieć? Skłamać, że wkrótce wrócą? Nawet gdyby chciał to zrobić, nie uwierzyliby mu. Nigdy nie był dobrym kłamcą.

– Wiesz już, co im dzisiaj powiesz? – zapytał Cathal.

Leżał w swojej alkowie, wysoko na drewnianym podeście. Upodobał sobie to miejsce ze względu na bliskość kominka. Kamienie długo oddawały ciepło, nawet podczas najsroższych zim.

Był porucznikiem i uzdrowicielem kompanii. Jego skórę znaczyły głębokie zmarszczki, włosy dawno posiwiały, a na skroniach odznaczały się druidzkie tatuaże. Chyba jako jedyny potrafił łączyć służbę w szeregach Szarych Mieczy z przynależnością do starożytnego zakonu druidów.

– Jeśli masz na myśli moją przemowę do żołnierzy, to mam ją należycie opracowaną – odpowiedział Arenil.

Jego stwierdzenie stanowiło nadinterpretację. Leżąca przed nim lista składała się z czterech punktów, a najdłuższy liczył trzy wyrazy. Publiczne wystąpienia kojarzyły mu się wyłącznie z wyschniętym gardłem i pustką w głowie. Wielu ludzi rodziło się mówcami. On do nich nie należał.

– Na szczęście dla nas nie umiesz kłamać, kapitanie. Powiedz im po prostu to, co sam myślisz. Plany często rozsypują się przy

pierwszym zetknięciu z rzeczywistością – dodał filozoficznie Cathal.

– Chcę przedstawić im sytuację bez upiększania. Oni żyją tutaj od pokoleń, wiedzą, czego się spodziewać.

Ciszę przerywał jedynie ciężki oddech Cabil, śpiącej jak zwykle na boku. Zdarzało się czasem, że znikała mu z oczu, a wtedy najczęściej znajdował ją tutaj, w towarzystwie Kiarana lub Cathala. Działo się tak, gdy nie spała na spłachetku trawy pod południowym wałem ani nie siedziała u rzeźnika, ogryzając kości. Zdarzyło się kiedyś, że zniknęła na całą noc. Rano odnalazł ją pod ścianą chaty, w której Cathal odbierał trudny poród. Przeleżała tam trzy dni i nie pozwoliła się stamtąd ruszyć. Kiedy Arenil zapytał go, czego tak uparcie pilnowała, druid tylko się uśmiechał i mówił: „Zapewniam, przyjacielu, że pewnego dnia sam poznasz odpowiedź na to pytanie".

Za pulpitem obok kominka siedział sierżant Mavros, pisarz kompanii. Ułożył przed sobą kolejną księgę. Po chwili do chrapania Cabil dołączyło monotonne skrobanie pióra.

Nagle Cabil gwałtownie poderwała łeb, a po kilku sekundach drzwi otworzyły się z impetem. W progu stanął chłopak ze straży grodowej. Dysząc ciężko, wyrzucił z siebie:

– Panie kapitanie, dowódca kazał przekazać, że wraca sierżant Kiaran z oddziałem i wiozą dwa ciała.

Kiaran dostał rozkaz sprawdzenia, czy dwójka młodziaków z ich czeladzi nie zdezerterowała. Udali się do swojej wioski i spóźniali z powrotem. Nie miał jednak wymierzać im kary samodzielnie.

Sierżant bywał stanowczy, ale nigdy surowy. Nie ukarałby nikogo z czeladzi śmiercią. Arenil dałby sobie za to rękę uciąć. Mieli okazję dobrze się poznać, gdy sprawował urząd sędziego na rivańskiej północy.

Coś musiało się wydarzyć. Zerwał się z miejsca i wybiegł z pomieszczenia.

Mavros i Cabil podążyli za nim. Szybko dotarli na plac przed koszarami. Kiaran właśnie mijał dom kupca Durgana. Chwilę później nadciągnęła reszta oddziału, a przestrzeń wypełnił odgłos kopyt na kamiennym bruku.

Członkowie oddziału jechali milczący, brudni i spoceni, na spienionych koniach. Twarz Kiarana, zwykle pełna rezerwy, teraz przypominała chmurę burzową. Jedno spojrzenie wystarczyło, by rozwiać absurdalną myśl, że to sierżant miałby im wymierzyć karę za dezercję. Oddział prowadził dwa luzaki, przytroczono do nich owinięte w szare płótno ciała. Plamy krwi mówiły same za siebie.

Arenil rozwiązywał węzły na sznurze, którym skrępowano jedno z ciał. Podszedł do niego Kiaran.

– Może zabierzemy ich na dziedziniec koszar? – zasugerował. – To nie będzie przyjemny widok.

– Nie. Cokolwiek się wydarzyło, ludzie mają prawo wiedzieć. Strach przed prawdą jest czasem gorszy od samej prawdy. Ułożymy ich tutaj.

Sierżant skinął tylko głową i ruszył po drugi całun.

Arenil odwinął płótno i zobaczył młodą kobietę. Ładne, szare oczy zastygły, kierując oskarżycielskie spojrzenie w niebo tego samego koloru. Odcięto jej dłonie, by nikt nie mógł wsunąć między palce kwadratowych kawałków drewna. Drewniane kostki zapewniały zmarłym przejście przez Bramę Umarłych. Tak nakazywała ereallska tradycja, uświęcona przez wieki. Karę odcięcia dłoni zarezerwowano dla morderców, zdrajców i osób zasługujących na nienawiść innych. Czym ona sobie na to zasłużyła?

Cabil obwąchała ciała, a potem ułożyła łeb na łapach, popiskując cicho.

– To Brianna i Teyan. Z naszych braci mniejszych – powiedział Kiaran.

Briannę ktoś zabił drewnianą pałką, a potem powiesił jej ciało. Nasuwało to wniosek, że mordercy żywili szczególną niechęć do kobiet, ponieważ Teyan nosił znacznie mniej śladów po

uderzeniach. Arenil przyklęknął. Wyjął z kieszeni kawałek płótna, oczyścił twarz kobiety z krwi i zamknął jej oczy. Starannie złożył zakrwawiony materiał i włożył do kieszeni, a potem uczynił gest Czterech Twarzy.

Ta kobieta miała ogień w sercu – Arenil od zawsze go w niej dostrzegał. Kiedy odrzuciła awanse zarządcy folwarku, musiała uciekać. Schronienie, a potem miłość, znalazła w Leśnicy Królewskiej. Niestety, zły los w końcu ją dopadł, jakby nie chciał pozwolić, by zaznała spokoju.

Ktoś wyciął na jej piersi literę „K", pochodzącą od galtarskiego słowa „Khavoren", oznaczającego zbrojne ramię. Sześć wieków temu traktat z Szarymi Mieczami włączył kraj do Szarej Wspólnoty. Część możnowładców odpowiedziała na to utworzeniem tajnej organizacji. Jej członkowie zwalczali sztyletem, mieczem i trucizną wszystkich popleczników władającego wówczas Erealle rodu Zahoganów. Większość kraju stanęła po stronie władcy i Szarych Mieczy, dlatego organizację szybko rozbito. Arenil pamiętał, że w przysiędze Khavorenów pojawiał się cytat o ramieniu sprawiedliwości, choć nie potrafił przywołać go w całości.

Obecnie nazwa ta stała się jedynie pustym słowem. Na przestrzeni wieków wielokrotnie zdarzało się, że rozmaite grupy usiłowały podszywać się pod legendarne stowarzyszenie, jednak okazywały się tylko nieudolnymi naśladowcami.

Żywił nadzieję, że i tym razem tak będzie. Jeśli się mylił i Khavorenów faktycznie reaktywowano, mieliby przeciw sobie kolejnego potężnego wroga.

– Pamiętam ich. Sam przyjmowałem ich do służby niecały rok temu. To były dobre dzieciaki. A ten znak… Zrobił to ktoś, kto naprawdę umie posługiwać się ostrzem – zauważył Arenil.

Od razu odezwało się jego doświadczenie jako sędziego.

– Też tak sobie pomyślałem i już miałem jeden trop – zgodził się Kiaran.

– Wszystko po kolei. Najpierw powiedz, gdzie ich znaleźliście?

– Niedaleko Leśnicy Królewskiej. Mordercy ukradli też konie, ubrania i broń. Gdy nadjechaliśmy, ciała Brianny i Teyna leżały przy drodze, już bez sznurów. Obok był trzeci zabity, kmieć pochodzący z ich wsi. On zapewne odciął sznury i zdjął pętle. Jego musieli zabić później. Obok leżała deska z hasłem „Srebrni na Szubienice". Najpierw rozmówiłem się z kilkoma naszymi weteranami z Leśnicy Królewskiej. Według nich sprawca musiał pochodzić spoza osady. Tam, jak zwykle we wsiach królewskich, prawie wszyscy nam sprzyjają.

– Dowiedziałeś się czegoś więcej?

Kiaran nie odpowiedział od razu. Zamiast tego wręczył dowódcy kawałek tkaniny. Arenil najpierw sprawdził płótno palcami, a potem je rozwinął. Jak się spodziewał, była to ciemna tunika z czerwoną literą „K" wpisaną w romb Czterech Twarzy. Pamiętał emblemat Khavorenów z jakiejś starej księgi, ten tutaj stanowił jednak zdobną interpretację, jakby ktoś tworzył kostium teatralny. To nie czyniło symbolu mniej groźnym, bo zabici naprawdę leżeli na placu. Równie rzeczywiste okazało się przerażenie mieszkańców Leśnicy. Terror poparty znakiem legendarnej organizacji zyskiwał na skuteczności.

Ktoś zadał sobie sporo trudu: wyrzeźbił w drewnie stempel, by starannie odciskać symbol na płótnie tunik. Materiał utkano z mocnych włókien, a barwę nadano mu korzeniem marzanny – intensywną, drogą, zupełnie niepodobną do pospolitej ochry. Arenila naszło przeczucie, że wkrótce ujrzy ich o wiele więcej.

Na twarzy Kiarana pojawił się cień mrocznego uśmiechu.

– Dowiedziałem się całkiem sporo, kapitanie. Zrobiliśmy to jak za starych czasów w Rivan. Udawaliśmy, że zostajemy na noc. Przyczailiśmy się. Na podstawie informacji od kmieci podejrzewałem, że ktokolwiek to zrobił, znalazł we wsi wspólnika. Miałem rację. Gdy zapadł zmrok, wpadł nam w ręce jeden „szczur". Złapaliśmy go, kiedy szedł ostrzec kompanów o naszej obecności we wsi.

– Dobra robota. Powiedz jeszcze, co z tymi kompanami? – dopytał kapitan.

– Dostaliśmy wszystkich, ten pierwszy ich wydał. Złapaliśmy rzeźnika, a zaraz potem jeszcze dwóch knechtów z drużyny Bahovica. Wszyscy mieszkali w Leśnicy Starej, dlatego, żeby do nich dotrzeć, musieliśmy wkroczyć na teren dóbr „jaśnie pana". Wzięliśmy ich z zaskoczenia, poddali się bez walki. Pojmani knechci zarzekali się, że rozkaz wydał sam Bahovic. To już rycerz, więc dla mnie za duża ryba.

Arenil skinął głową. Wszyscy nazywali żołnierzy z pieszej drużyny Bahovica knechtami, choć z prawdziwymi najemnikami mieli niewiele wspólnego. Pochodzili z chłopstwa, lecz zamiast pracować w folwarku, pełnili służbę w drużynie swojego pana. Z tego, co wiedział, jako żołd otrzymywali jedynie jeden ciepły posiłek dziennie.

– Dobra robota, Kiaranie. Więc pan Bahovic przestał tylko grozić i przeszedł do czynów. A co z tymi znakami „K"? Wiesz, kto je wyciął?

– Najpierw pomyślałem, że to ten rzeźnik, ale wszyscy przysięgali, że znaki wyciął „duch Khavoren". Z zeznań wynika, że to żywa kobieta, a nie jakaś istota nadnaturalna. Nic więcej z nich nie wyciągnąłem, chociaż wszyscy ją widzieli. Nie znają jej imienia, nosi zbroję zakrywającą twarz. Zdaję sobie sprawę, że brzmi to bezsensownie, ale jej bali się bardziej niż mnie. Dla nielojalnych nie zna litości, potrafi zabić ich wraz z rodzinami, nawet jeśli wśród nich są małe dzieci.

– Zostawmy to na razie. Najważniejsze, że dostałeś wszystkich zabójców. Został nam tylko zleceniodawca. On także musi za to zapłacić.

Zacisnął dłoń na zakrwawionym kawałku materiału. Potem starannie go złożył i schował. Miał przeczucie, że ta historia nie zakończy się szybko.

– Jeżeli zamierzasz złożyć Bahovicowi wizytę, kapitanie, to zgłaszam się na ochotnika. Wypytałem jednego z knechtów o słabe punkty jego siedziby, bo zamkiem tego nazwać nie można.

– To nie takie proste, sierżancie. Dostaliśmy już rozkaz wymarszu.

Mordując ludzi z kompanii, właściciel Leśnicy przekroczył cienką granicę między cichą wrogością a otwartą konfrontacją. Wcześniej ograniczał się do toczenia sporów granicznych z wsiami królewskimi otaczającymi jego dobra. Samą swoją obecnością przypominał, jak trudno było rządzić tymi ziemiami.

Bezpośredni atak na siedzibę możnowładcy nie wchodził w grę. Bahovic był zbyt sprytny, by dać się zaskoczyć atakiem na zamek, niezależnie od tego, jak kiepsko prezentowały się jego fortyfikacje.

Arenil musiał pogłówkować, jak podejść Bahovica, dawnego porucznika Północnych Rubieży, znanego ze sprytu i ostrożności. W dodatku przyjaźnił się on z samym Hieronimem Potarovskim, wodzem jednej z armii rubieży. Dowództwo Szarych Mieczy zawsze starało się łagodzić spory z rycerstwem, ale tym razem sprawa okazała się poważna, gdyż zabito dwoje ludzi.

Nie zamierzał zostawiać tego przełożonym, tym bardziej że ofiarami stali się jego towarzysze broni. Postanowił zacząć od natychmiastowego ściągnięcia wszystkich swoich podkomendnych do Stokłoszyna. Zauważył, ku własnemu zaskoczeniu, że Kiaranowi coś więcej leżało na sercu.

– Mów śmiało – zachęcił sierżanta.

– Jeszcze jedna rzecz, kapitanie. Znalazłem też człowieka, który ukradł tamte ubrania i buty. Przez chwilę chciałem go zabić, ale zobaczyłem, że mieszka z żoną i dziećmi w przybudówce przy chlewie… Zwrócił wszystko, dlatego ostatecznie nic mu nie zrobiłem. Wyjaśnij mi jedną rzecz. Dlaczego ci knechci chcą walczyć przeciwko nam? Oni we wsiach rycerskich żyją bez porównania biedniej niż ci na prawie królewskim, a mimo to nienawidzą Szarych Mieczy. Przecież gdyby wszystkie wioski przeszły na prawo

królewskie, ich los stałby się o wiele lepszy. Zwyczajnie tego nie pojmuję.

– Odpowiedzi na takie pytanie to specjalność Cathala, ja też słabo to pojmuję. Może dla nich jesteśmy wciąż zbyt obcy, nawet fakt, że służymy tu od lat, zapewniając im bezpieczeństwo, nie ma znaczenia. Jako knechci żyją trochę lepiej niż pozostali, a to najwyraźniej im wystarcza.

Kiaran smętnie pokiwał głową.

– Zdaję się na ciebie w kwestii Bahovica.

– Zostaw go mnie. Coś wymyślę. – Arenil ponownie spojrzał na ciała. – Pochowamy ich w jednym grobie. Za życia każdą chwilę spędzali razem. Nie powinniśmy ich rozdzielać po śmierci.

Kiaran odpowiedział po chwili namysłu:

– Bracia z naszej czeladzi na pewno zechcą zadbać o pochówek.

Odwrócił się i zamierzał odejść, lecz cały plac przed koszarami zajmowali ludzie. Wielu żołnierzy i mieszkańców skupiło na nim spojrzenia. Ze zdwojoną siłą dotarł do jego uszu szmer rozmów. Cathal miał rację, życie właśnie gwałtownie zweryfikowało jego plany. Nie dało się już uniknąć publicznej przemowy.

Wszedł na beczkę, zwykle służącą do przechowywania wody.

Stał przez chwilę, niepewny, jak zacząć. Na szczęście najbliżej znajdowali się jego żołnierze, towarzysze z kompanii Pancernej Pięści. Miejscowi mówili o nich „wilki z rubieży", a wrogowie nazywali ich „kundlami z dziury zabitej dechami".

Mieszkańcy grodu byli ludźmi pogranicza, więc do krążących wieści o nadchodzącej wojnie podchodzili z rezerwą. Spokojnie czekali na jego słowa. Nie pierwszy raz burza nadciągała od strony bezkresnych arrackich równin.

– Bracia. Nie będę kłamał! Sami widzicie, co się dzieje. Idzie zły czas dla Złamanego Dębu. Przelano pierwszą krew, a poleje się jej więcej, znacznie więcej. Mamy wieści o mobilizacji dziewięciu księstw Arratu. Nasz Marszałek zbiera Szare Kompanie. Jak kraj długi szeroki, zbroimy straże grodowe, zaciągamy każdego, kto

jest w stanie unieść broń. Rycerstwo także nie próżnuje. Jeśli poróżniliście się z bratem czy siostrą, teraz jest dobry czas, by się pojednać i wspólnie stawić czoła wrogowi. My ruszamy za tydzień i nie wiem, kiedy wrócimy. Wiem jedno: Arrat nas nie złamie! Zdrajcy, tacy jak mordercy naszych towarzyszy, zapłacą za swoje zbrodnie krwią. Razem zaciśniemy pięść i przetrwamy!

Arenil zamilkł i zacisnął prawą dłoń w pięść, a potem przyłożył ją do piersi w salucie Szarych Mieczy. Setki pięści odpowiedziały tym samym gestem. Patrzyły na niego twarze zacięte i zdeterminowane. Ich siła dawała nadzieję, że to wszystko minie jak zły sen. Że za rok rolnicy znów będą sypać ziarno w wilgotną ziemię. Ludzie w Erealle przypominali tutejsze dęby: twardzi i szorstcy. Nie byli skłonni do gwałtownych reakcji.

Wzmocnieni słowami dowódcy żołnierze zacisnęli mocniej dłonie na rękojeściach mieczy. Niektórzy skinęli głowami, a po tłumie rozszedł się cichy pomruk aprobaty. Z tłumu padło kilka pytań, a Arenil na nie odpowiedział. Wreszcie rzucił rozkaz, by się rozejść. Część ciężaru, od dawna spoczywającego na sercu, przeniósł teraz na ich barki.

Każdy wiedział, że powinien zrobić to, co do niego należy – żołnierz, kmieć, dowódca. Ta wiedza była wszystkim, co pozostało ludziom wobec nadchodzącej burzy.

Arenil ruszył z powrotem do swojego mieszkania, jedynego domu, jaki znał od lat. Promienie zachodzącego słońca wpadały do grodu ponad palisadą. Ku swojemu zaskoczeniu kapitan ujrzał kobiecą sylwetkę stojącą przy drzwiach jego kwatery, położonej niedaleko południowej bramy grodu.

Rozpoznał ją od razu – wdowę po sierżancie Pancernej Pięści, który poległ dwa lata wcześniej. Kobieta pochodziła z rodu drobnego rycerstwa, a za mąż wyszła z miłości. Z powodu tego mezaliansu jej bliscy odwrócili się od niej, więc po śmierci męża wspierała ją tylko jego rodzina. Utrzymywała siebie i dzieci głównie z wdowiej renty, dodatkowo uczyła pisania dzieci miejscowych

kupców. Żołnierze Pancernej Pięści pamiętali o rodzinach poległych towarzyszy broni, dlatego ani ona, ani jej dzieci nigdy nie przymierali głodem.

W spokojniejszych czasach Arenil często odwiedzał jej skromny dom. Łączyła ich dziwna więź – należeli do różnych światów, a ich ścieżki splotło życie na pograniczu. Niegdyś oboje przybyli tu jako obcy, z czasem jednak zdołali zapuścić korzenie w tej trudnej ziemi.

Złośliwi szeptali, że pod nieobecność żony kapitana łączy ich coś więcej niż przyjaźń, lecz nikt nie ważył się tego powiedzieć głośno, w obawie przed ciężkimi pięściami jego żołnierzy. Dla nich był on „drugim po Czterech Twarzach".

– Arenilu… – powiedziała cicho.

Jej głos zdradzał ogromne napięcie. Zaplotła dłonie jak zawsze, kiedy ogarniało ją zdenerwowanie. Poczuł ukłucie winy, bo zawsze powinien znaleźć czas dla przyjaciół. Pozostało ich przecież tak niewielu.

– Przyszłam po radę. Wiem, że masz teraz tyle na głowie, ale…

– Mów śmiało, proszę.

– Poradź, co ja mam zrobić? – Jej głos zadrżał. – Różnie mówią o wojnie. Jedni, że to błaha awantura, a inni, że pójdzie na nas wielka armia. Ja… nie wiem, co robić. Proszę. Pomóż mi podjąć decyzję.

Zawahał się. Tak jak błędny rozkaz mógł poprowadzić jego żołnierzy na śmierć, tak samo tutaj błędna rada mogła mieć fatalne skutki.

– A gdybym powiedział, żebyś zabrała dzieci do stolicy… zrobiłabyś to?

– Więc nawet za wałami nie będziemy bezpieczni? Od tylu lat to miejsce jest naszym domem.

W jej głosie brzmiała nadzieja, jakby oczekiwała zaprzeczenia, uśmiechu i obietnicy, że wszystko będzie dobrze. Nie mógł tego zrobić. Życie nauczyło go, że rzeczywistość zwykle bywa gorsza

od przewidywań, a jedynie głupi udawali, że jest inaczej. Zresztą to oni często umierali pierwsi, a jej życie znaczyło dla niego zbyt wiele. Nie zamierzał jej okłamywać.

– Nie – odpowiedział bez wahania. – Obawiam się, że nawet wały nie zapewnią wam bezpieczeństwa.

Opuściła wzrok, próbując pożegnać się z własnym domem.

– W takim razie pojadę, Arenilu. Tak jak mówisz.

– Jedź do stolicy. Dam ci listy, one pomogą. Nie będzie mnie tam, żeby cię wesprzeć. Jeśli coś pójdzie nie tak… – Wyciągnął z kieszeni sakiewkę i wcisnął ją w jej drżące dłonie. – Mam tam przyjaciela, on cię nie zostawi. Szare Miecze nie porzucają swoich w potrzebie. Możecie zabrać się z kupcem bławatnym, wyjeżdża jutro rano. Porozmawiam z nim. Mam nadzieję, że spotkamy się ponownie, kiedy to wszystko będzie już za nami.

W oczach kobiety pojawiły się łzy. Opadła na jedno kolano i chciała pocałować dłoń kapitana, ale ten sprawnie podniósł ją z klęczek.

– Zawsze będę ci wdzięczna.

W jej oczach dostrzegł ciepło uczucia, lecz nie mógł go odwzajemnić. Im mniej ktoś ma, tym zacieklej tego broni, dlatego on kurczowo trzymał się lojalności wobec żony, z którą tak wiele go łączyło. Wdowa pozostawała jego przyjaciółką i żywym przypomnieniem, że do jego obowiązków należało posyłanie innych na śmierć.

Ta cicha bohaterka codziennych zmagań walczyła o zapewnienie dzieciom lepszego życia i jak dotąd zawsze zwyciężała. Zadbała o edukację swych pociech, a gdy syn skończył pięć lat, otrzymał drewniany miecz. Teraz całkiem dobrze nim władał, dzięki czemu otwierała się przed nimi lepsza przyszłość, pod warunkiem, że przeżyją to lato.

Powiedział już wszystko, a przynajmniej miał takie wrażenie, jednak ona czekała. Stała, nie odrywając od niego smutnych oczu, aż zdał sobie sprawę, co było prawdziwym celem tej rozmowy.

Ona nie przyszła po radę, lecz żeby się pożegnać – pomyślał.

Zamknął jej dłonie w swoich. Okazały się tak samo ciepłe i szorstkie jak jego żony.

– Dziękuję ci, kapitanie. Niech Cztery Twarze i Siostry cię prowadzą.

– To ja ci dziękuję. Twój mąż oddał temu krajowi życie, a walczył razem ze mną. Nie mam tu wielu przyjaciół, więc tym bardziej będę pamiętał twoją życzliwość.

– To ja już pójdę…

Odwróciła się, ocierając łzy, a on nie odpowiedział. Jak znaleźć właściwe słowa dla kogoś, kogo los już ciężko doświadczył? Stał w milczeniu i patrzył na oddalającą się kobietę. Szła przygarbiona, jakby dźwigała na ramionach niewidzialny ciężar. Jej cień, wydłużony przez zachodzące słońce, sunął za nią po cegłach ścian. Arenil nie poruszył się nawet wtedy, kiedy umilkł już odgłos jej chodaków na dębowych deskach.

– Każdy powinien robić to, co do niego należy. Ja ruszę na wojnę. Ty ochronisz swoje dzieci – wyszeptał.

Powiew rześkiego wiatru przypomniał mu, że musi stawić czoła własnym obowiązkom. Zawrócił do sztabu Pancernej Pięści.

Ścianę zdobiła mapa północnych i wschodnich rubieży państwa. Granica z Arratem rozciągała się od twierdzy Wysokiego Mostu, stanowiącej ostoję całej północnej granicy i dalej, wzdłuż rzeki Merglany, aż do łuku Tavlany, by zakończyć się na Zarzeczu. Identyczną mapę rozłożono na stole, tyle że upstrzono ją symbolami rozpoznanych arrackich jednostek.

Wszędzie leżały ciężkie kusze, podobne do tych używanych przez piechotę Szarych Mieczy. Brakowało na nich armijnej puncy, więc Cathal nabył je prywatnie. Zapewne była to nowa dostawa, ponieważ wcześniej ich tu nie widział.

Podwójne drzwi do alkowy Cathala stały otwarte. Porucznik leżał na łóżku, jakby drzemał. Jedynie tatuaże na jego skroniach, żywe znaki starej magii, zdawały się poruszać w rytm oddechu.

Dopiero gdy druid uniósł powieki, stało się jasne, że jedynie odpoczywał z zamkniętymi oczami. Arenil nigdy nie zdołał odgadnąć, czy jego towarzysz w ogóle sypia jak zwykły człowiek.

– Jak udało ci się przewidzieć, że będę musiał przemówić teraz, a nie wieczorem, druidzie?

– Nie wiedziałem tego na pewno. Tylko przeczuwałem. To przypominało raczej wyobrażanie sobie kształtów w absolutnej ciemności. Powiedz lepiej, czy przemowa poszła dobrze? Jak żołnierze przyjęli twoje słowa?

– Są jak zwykle niewzruszeni. Czasem myślę, że nic nie zdoła ich przestraszyć. – Arenil uniósł brwi i z niedowierzaniem spojrzał na piętrzące się w pomieszczeniu kusze. – Sądziłem, że już wcześniej zdołałeś uzbroić wszystkich chętnych do walki?

– Okazało się, że potrzeba więcej. Każdy, kto zostanie, potrzebuje takiej broni.

– Jeśli wojska Arratu podejdą pod wały, jedynym wyjściem będzie się poddać, aby uniknąć rzezi. Chyba że zdołamy nakłonić mieszkańców, aby wcześniej opuścili Stokłoszyn i ukryli się w okolicznych lasach. Do zatrzymania dobrze uzbrojonego pułku wojska potrzeba czegoś więcej niż poszerzona fosa i wyższy wał.

– Tylko oni mogą zdecydować, czy zostać, przecież to ich ziemia. Ja pomogę tym, którzy postanowią walczyć. Zresztą sam zawsze powtarzasz, że każdy powinien robić swoje. To dotyczy także mieszkańców.

– Masz rację. Mają szczęście, że jesteś dla nich tak hojny, dobra broń na pewno im się przyda.

Cathal wzruszył ramionami.

– Stać mnie na to. Poza tym to dzięki tutejszym uzdrowicielkom opracowałem część receptur moich maści, więc spłacam tylko dług.

– Jeśli mówimy o długach, muszę napisać listy polecające dla wdowy. Udało mi się ją przekonać, żeby wyjechała do stolicy.

– To bardzo rozsądne. Jeśli pozwolisz, chętnie zaniosę jej te listy. Oczywiście, gdy już skończysz pisać – zaproponował Cathal.

– Skoro nalegasz… Zaraz się tym zajmę.

Arenil usiadł przy pulpicie pisarskim. Sporządził dwa pisma: pierwsze do Ksaviera, drugie potwierdzające, że jego posiadaczka była wdową po sierżancie z Pancernej Pięści. Żaden oficer ich armii nie odesłałby takiej osoby bez pomocy. Za to, gdyby wpadła w ręce arrackie i nie zdążyła pozbyć się listów… Wtedy ją i jej dzieci czekała niechybna śmierć. Po tamtej stronie granicy ich kompania nie była zbyt lubiana.

Gdy skończył pisać, Cathal podszedł i wziął od niego listy. Do tego zabrał jedną kuszę ze stołu, mniejszą i lżejszą od standardowych modeli wojskowych, w sam raz dla kobiety w podróży.

– Myślisz, że ona potrafi się tym posłużyć? – zapytał Arenil.

– Nie myślę, lecz wiem. Sam ją zresztą tego nauczyłem. Muszę czasami naprawiać niedopatrzenia dowódcy.

Druid uśmiechnął się tajemniczo, a kapitan przekrzywił głowę zaciekawiony.

– Otrzymujesz oficjalną pochwałę, poruczniku. A teraz zdradź mi szczegóły.

– Namówiłem bławatnika, żeby wziął jeszcze trzech pachołków i zaopatrzyłem ich w broń. Przekonałem Gerwolda, handlarza narzędziami, aby wyruszyli wspólnie, a wdowę poinstruowałem, by w razie spotkania z obcymi twierdziła, że jej mąż zginął podczas bójki z jednym z naszych. To powinno zwiększyć jej szanse na bezpieczną podróż.

Kapitan nie zdążył zadać kolejnych pytań, bo druid wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Ponownie zasiadł przy pulpicie i sięgnął po kolejny arkusz papieru. Musiał teraz sporządzić raport dla generała Relgatiusa. W tym przypadku pisanie to była czysta przyjemność. Kiaran, choć twardy żołnierz, sprawę załatwił bardzo sprawnie, bez zbędnego rozlewu krwi. W prowincji już od jakiegoś czasu obowiązywało

prawo wojenne, nakazujące, by każde morderstwo urzędnika lub żołnierza zostało osądzone i poddane karze w trybie doraźnym, a więc dokładnie tak, jak uczynił to Kiaran. Arenil w myślach podziękował losowi, że na misję wysłał kogoś tak rozgarniętego. Nie każdy podoficer zająłby się tą sprawą równie odpowiedzialnie.

Gdyby na miejscu Kiaran znalazł się na przykład Geamin, działałby nawet sprawniej, ale przy okazji spaliłby także domostwa zabójców. Najpewniej zginęłoby też więcej ludzi.

Ciekawe, co generał napisze w sprawie Khavorenów i pana Bahovica. Może da Pancernej Pięści wolną rękę w tej kwestii? Lepiej przeciąć ten wrzód już teraz niż czekać, aż wybuchną otwarte walki – pomyślał.

List musiał dotrzeć do generała natychmiast, a wieczorem gołąb nie był w stanie lecieć. Samotny posłaniec w świetle niedawnych zabójstw mógł stać się łatwym celem, bezpieczniej było więc puścić z nim czterech jeźdźców w formie eskorty. Lepiej, żeby kilku żołnierzy zarwało jedną noc, niż żeby posłaniec zginął, a list nie dotarł do sztabu armii.

Arenil umieścił papier w tubie i opuścił pomieszczenie.

